

Maciej Lis (Kielce)

Wspomnienia z lat 1945-1948

Był 23 marca 1946 r. i za chwilę miałem poznać Kielce – miasto rodzinne mojej matki. Miałem niespełna dziesięć lat, a przez sześć lat pobytu w ZSRR nasłuchiwałem się o Kielcach tylu opowieści, że był to dla mnie świat zupełnie bajkowy. Był tam dom, w którym mieszkali szczęśliwi ludzie, którzy nigdy nie byli głodni, nie gryzły ich wszy i pluskwy, wszyscy mieli buty i nie ubierali się w łachmany. Był sad, w którym rosły drzewa owocowe, a zimą schodziło się do piwnicy z koszykiem po jabłka i można ich było zjeść ile się chciało. Były podobno sklepy, w których bez specjalnych pozwoleń i kartek można było kupić wszystko, co potrzebne. W żaden sposób nie pasowało to do syberyjskiej rzeczywistości czasów wojny i warunków życia w stanie wojennego komunizmu. Nie mogłem się doczekać, kiedy w tym bajkowym świecie i ja się znajdę.

Na granicy radzieckiej pogranicznicy weszli do wagonu, poszturchali bagnetami nasze tobołki, a wychodząc oficer mruknął: „Wy zabuditie, czto wy tu byli”. I nie wiadomo, czy była to życzliwa rada, czy przestroga. Potem gdzieś na jakiejś bocznicy przeładowano nas do polskich wagonów i transport ruszył na zachód. Były to zwykłe wagony towarowe, bez prycz i piecyków, na podłodze leżało parę snopków słomy. Ale nastrój był wspaniały, byliśmy już jedną nogą w domu. Nastroju tego nie byli w stanie zepsuć nawet polscy kolejarze, którzy oglądali nas z wyrazem zgrozy i nietajonego obrzydzenia. Na którymś postoju do wagonu zajrzał kolejny kolejarz i zawołał do mojego kolegi: „Zobaczcie, co was czeka”.

I tak transport dojechał do Legnicy. Tu część wagonów rozładowano, a na ludzi czekały ciężarówki wojskowe – pojechali do nowych miejsc zamieszkania. Pozostałe wagony z ludźmi pojechały gdzieś dalej, a ci, którzy deklarowali chęć powrotu do Polski centralnej czekali z tobołkami na stacji. Była to nawet spora gromadka. Dostaliśmy jeść, umyliśmy się, a mama dostała zapomogę, pierwsze powojenne polskie pieniądze. Potem zapakowano nas do trzech wagonów, również towarowych, ale przystosowanych do przewożenia ludzi. Wzdłuż ścian były ławki z desek i podobnie poprzeczne – przykręcone do podłogi. Wagony te doczepiono do pociągu osobowego i ruszyliśmy w drogę powrotną – na wschód. Pociąg zatrzymywał się na każdej stacji i przystanku, a czasami w szczerym polu. Obwieszony był ludźmi, który stali na stopniach, siedzieli na dachach wagonów i wieźli przedziwne rzeczy, a najczęściej rowery, akordeony i ma-

szyny do szycia oraz wszystko to, co się dało unieść. Później się dowiedziałem, że to tak zwani szabrownicy – amatorzy poniemieckiego mienia ruchomego. My jechaliśmy w warunkach komfortowych, nikt nawet nie próbował się do nas dosiąść. Zaglądali, pociągali nosem i szli dalej.

Mama zaczęła odczytywać znajome nazwy stacji: Tunel, Sędziszów, Jędrzejów – nam one nic nie mówiły. Nam, czyli dzieciom: bratu Jurkowi, siostrze Zosi i mnie Maciejowi. Na dłużej pociąg stanął przy semaforze na Sitkówce. Było późne popołudnie. Było ciepło, świeciło słońce, ale jakieś przymgłone. Mama zaczęła się denerwować, chodziła po wagonie, wyglądała i sprawiała wrażenie jakby chciała biec do swojego rodzinnego domu.

Wreszcie pociąg ruszył i już bez przeszkód dojechaliśmy do Kielc. Po chwili przed wagonem pojawił się kolejarz i jakiś wojskowy z poleceniem, żebyśmy nie wysiadali na peronie, bo nasz wagon zostanie przetoczony pod rampę, tam będzie wygodniej wysiadać i będą na nas czekać ludzie do pomocy. I tak się stało. Wagony dociągnięto do rampy przy magazynach na ul. Żelaznej. Tam rzeczywiście czekała dziewczyna z torbą PCK, jakaś kobieta reprezentująca Państwowy Urząd Repatriacyjny i dwóch mężczyzn z dwukołowym wózkiem. Załadowali nasze tobołki na wózek i cała gromadka ruszyła bocznym wyjściem od ul. Żelaznej do Czarnowskiej. I zaraz po lewej stronie była brama powitalna z napisem „Wojsko Polskie” i resztkami dekoracji z białoczerwonej bibułki oraz budka wartownicza w skośne białoczerwone pasy. Weszliśmy do środka i wtedy mama nie wytrzymała. Powiedziała do mężczyzn, żeby nasze tobołki położyli na środku placu przy słupie oświetleniowym, a my wrócimy za godzinę, bo przecież może nie będziemy musieli tu nocować. I poszliśmy na Złotą. Szliśmy ulicą Sienkiewicza – mama mówiła „Kolejową”

Nieliczni przechodnie oglądali się za nami, inni schodzili z drogi. Stanowiliśmy małą grupę. Ja w krótkich spodniach, przerobionych z długich po Jurku, trochę podartych, trochę połatanych, wystrzępionych. Nogi bose i o tej porze dnia już trochę czarniawe, górę stanowiło coś, co mogło być koszulą, bluzą lub marynarką – zapinaną na dwa duże guziki. Zocha miała sukienkę uszytą przez mamę, chyba z resztek koca, buty z podartych pasków różnych materiałów, którymi nogi owinięte były do pół łydki, mocowane sznurkami plecionymi na krzyż. To specyficzny wynalazek radziecki. Mama była w kostiumie z płótna leżakowego w pasy. Podobno szyk mody letniej 1937 r. Przetrwał Syberię i jeszcze mógł stanowić atrakcję. Na nogach miała coś w rodzaju sandałów z kawałków starej opony – to też tamtejszy wynalazek i wyrób. Prawdziwe buty miał tylko Jurek, chociaż jeden był z przodu owinięty sznurkiem, bo zbyt ostentacyjnie szerzył zęby z oderwanych szpilek.

Tak powoli doszliśmy do Banku Rolnego, a potem w prawo na ul. Focha. Bardzo mnie te Kielce dziwiły. Domy wielkie i wcale nie z drewna, chodniki szerokie i też nie z desek, ulice wyłożone kamieniami i bez kałuż błota. No i oczywiście sklepy, a zwłaszcza wystawy – niestety wszystkie były zamknięte; było już późne popołudnie i albo sobota, albo niedziela, a ludzi na ulicach bardzo mało.

Doszlśmy do ulicy Solnej. Na rogu dużą kamienicę z czerwonej cegły odgrodzono od Solnej i Focha zasiekami z drutu kolczastego (tzw. kozły hiszpańskie). Mama powiedziała: „To kamienica Kalinowskich”. Z pierwszego okienka piwnicznego wystawała rura i słychać było pracę silnika spalinowego. Za zasiekami stał wartownik, przyglądał się nam uważnie, a za chwilę zawołał: „Obywatelko przejdźcie na drugą stronę ulicy”. Przeszlśmy na ulicę Żłotą, po drugiej stronie stał nasz dom. A przed domem młody żołnierz z pepeszą na pasku wymierzoną w naszą stronę. Okrzyk: „Obywatelko wróćcie, tędy nie ma przejścia”. Zatrzymaliśmy się na środku ulicy przed furtką. Mama powiedziała: „To jest mój rodzinny dom, właśnie wróciliśmy z Syberii i nie mamy gdzie mieszkać”. Żołnierz kazał nam poczekać, wszedł do środka bocznym kuchennym wejściem i usłyszeliśmy rozmowę: „Panie poruczniku przysła jakaś żebraczka i mówi, że to jej dom, i że właśnie wróciła z ZSRR i nie ma gdzie mieszkać”. I za chwilę odpowiedź: „Powiedz jej niech się tu nie kręci, bo wróci tam, skąd przyjechała”. Mama już nie czekała na powrót żołnierza, odwróciła się na pięcie i poszliśmy z powrotem. Pierwszy raz widziałem, że mama płacze. Ale nie poszliśmy Kolejową w stronę dworca, tylko w drugą stronę. W okolicy teatru była otwarta mała cukiernia, wchodziło się do niej na dół po schodkach, przez szybę widać było ladę szklaną, gablotkę z ciastkami i kobietę w białym fartuchu i białym czepku. Zatrzymaliśmy się przed wystawą, a za chwilę mama powiedziała ni to do siebie, ni to do nas: „Przecież to moja szkolna koleżanka”. I weszła.

Zadzwonił dzwonek zawieszony nad drzwiami. Zatrzymaliśmy się w drzwiach, mama na przedzie. Pani spojrzała w naszym kierunku i wyciągnęła rękę gestem wskazującym w stronę ściany, a tam wisiał napis: „Płacę na Caritas”. Ale za chwilę jakby się zreflektowała, spojrzała jeszcze raz i z niedowierzaniem zapytała: „Wanda?” Potem panie się uściślały, mama w telegraficznym skrócie opowiedziała swoje wojenne losy, a na koniec, co ją spotkało na Żłotej. Na to usłyszała, że jeszcze nie takie rzeczy usłyszysz i zobaczysz, więc niech się nie dziwi i nie protestuje, bo to nie jest bezpieczne. My dostaliśmy po ciastku. Okrągłe, kruche, sklezione jakimś kremem i udekorowane czymś zielonym. Pewnie już nigdy ciastko tak mi nie smakowało, a zapach cukierni zidentyfikowałem dopiero po latach. To był charakterystyczny zapach anyżku.

Minęła już godzina z okładem. Poszliśmy z powrotem, ale już w innych nastrojach, mama była milcząca. W połowie drogi zauważyłem coś dziwnego. Na końcu Kolejowej stał człowiek na biało ubrany przy białej skrzyni, co jakiś czas podchodzili do niego ludzie, coś mówili, a potem podawali mu rękę i odchodzili. Zapytałem, kto to jest i co on robi. Usłyszałem, że to lodziarz sprzedaje lody. Wyłonił się nowy problem – co to są lody. Po chwili zastanowienia brat mi wyjaśnił, że to taki słodki śnieg. Śniegu w swoim życiu sporo widziałem, ale żeby mógł być śnieg słodki, o tym usłyszałem po raz pierwszy. Coraz dziwniejsze były te Kielce. Dotarliśmy do lodziarza i mama nam kupiła po lodzie w różku. Bardzo mi ten słodki śnieg posmakował, ale nie było mi dane zjeść loda do końca. Na przyległej ulicy (ul. Niepodległości) ktoś krzyczał, a potem słychać było tupot podkutych butów; wychyliłem się za róg i zobaczyłem, że tam też

kawałek ulicy jest zatarasowany zaporami z drutu kolczastego, a zza zapory wybiegł wojskowy w rozpiętym mundurze, szurając butami. Biegł zygzakiem środkiem ulicy w naszą stronę, za nim biegł drugi, krzycząc: „Stój, bo strzelam!” I rzeczywiście dwa razy strzelił. Wtedy ten pierwszy skręcił w stronę płotu i przez dziurę skoczył na tory kolejowe. Lodziarz zatrzasnął swoją skrzynię i schował się za mur kamienicy. Mama szarpnęła mnie za rękę. Łód wypadł na chodnik i zaraz się rozpułynał. Ale krzyki ustały i strzałów też więcej nie było. Poszliśmy dalej do swoich tobołków. W Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym na nas czekali. Na początku była łaźnia i pachnące amerykańskie mydło, potem sterta ubrań również rodem z UNRRA. Każdy coś dla siebie znalazł. Na mnie był mundur z czerwonego sukna z czarnymi wyłogami i takimiz lampasami na spodniach. Do tego były metalowe złożone guziki z dziwnymi emblematami. Pasował, jakby był na mnie szyty. Dostałem jeszcze krótkie spodnie z błękitnego pluszu, sweterki, koszulki i półbuty, jakich nigdy przedtem ani potem nie widziałem. Miały ciemnobrązowe obcasy obwiedzione dookoła jakąś metalową podkówką, z przodu szerokie blaszki wpuszczone w zelówki, grube zelówki skórzane, gęsto nabijane mosiężnymi, prostokątnymi ćwiekami. Buty były ciężkie i niewygodne, ale byłem z nich bardzo dumny.

Potem był obiad w jadalni, trochę już chłodny, podobnie jak woda do kąpieli, bo w międzyczasie zrobił się już wieczór. Podano grochówkę o dość specyficznym smaku, kotlety mielone z ziemniakami i kapustą zasmażaną. Zjedliśmy to błyskawicznie. Potem jeszcze sanitariuszka – ta sama, która przyjęła nas na rampie – obejrzała mi głowę i stwierdziła, że włosy trzeba obciąć, co zresztą zrobiła natychmiast, a potem głowę wysmarowała mi czymś, co miało zapach nafty i jakiegoś środka chemicznego. Zocha i Jurek zachowali włosy, ale też zostali wysmarowani czymś śmierdzącym.

Cały nasz syberyjski dobytek został widłami przeniesiony w bezpieczne miejsce z dala od baraków, obłany benzyną i podpalony; tam również spłonęły moje włosy wraz z lokatorami. Mamie udało się wytargować tylko dwie poduszki puchowe – jeszcze z Polski przedwojennej. Towarzyszyły nam całe 6 lat. Ale przyczynę, dla której tak o nie walczyła poznałem dopiero po blisko 30 latach. Było w nich łącznie prawie 10 tys. złotych – oczywiście przedwojennych. Dostaliśmy jeszcze jakieś paczki, pudełka i pościel, a potem sanitariuszka zaprowadziła nas do baraku mieszkalnego i wskazała pomieszczenie, gdzie będziemy spali. Było to normalne mieszkanie, dwa pokoje z kuchnią. W ostatnim pokoju mieszkała ona, w środkowym leżały sterty jakichś paczek, a kuchnia pozostała do naszej dyspozycji. Łóżka składane leżały pod ścianą, kołdry, koce i poduszki na kuchennym piecu. Byłem zmęczony, chciało mi się już spać, ale nie mogłem usnąć. Zerwał się wiatr, metalowy klosz lampy na słupie kiwał się miarowo, w pokoju co chwila było widno lub ciemno, klosz skrzypiał. Wszystko wyglądało trochę niesamowicie. Zaczęło mi się kręcić w głowie, potem gdzieś leciałem, spadałem i wreszcie usnąłem. To był najdłuższy i pełen wrażeń dzień w moim dotychczasowym życiu.

Gdy obudziłem się rano, mamy już nie było. Poszła do miasta nawiązać kontakty z rodziną i przedwojennymi przyjaciółmi, no i chyba dowiedzieć się, co aktualnie w Kielcach się dzieje – w kontekście tego, co nas wczoraj na Złotej spotkało.

My zajęliśmy się rozpakowywaniem paczek, które otrzymaliśmy wieczorem. A było tam tyle pyszności, że gdybym to wcześniej wiedział, to na pewno bym nie usnął. Czekolada, guma do żucia, jakieś cukierki i dużo różnych konserw. Wszystko zapakowane w paczki wielkości współczesnych paczek proszków do prania, oblane grubą warstwą wosku lub parafiny. Paczki miały napisy w języku angielskim i francuskim. Niektóre były oznaczone dużymi literami. Wy tłumaczono nam, że to dzienne racje żywieniowe żołnierzy amerykańskich, a litery oznaczały śniadanie, obiad lub kolację. Napisy objaśniały zawartość. Były jeszcze duże paczki z czymś, co w środku chlupotało, paczki z jakimś proszkiem i wiele innych puszek, flakoników i małych zamkniętych hermetycznie paczuszek. Zajęło nam parę dni, zanim zawartość wszystkiego rozszyfrowaliśmy. Ale okazało się, że nawet jedzenie czekolady, której nie widziałem ponad 6 lat, w którymś momencie przestaje być przyjemnością.

Życie nabrało nowej jakości. Problem głodu został zastąpiony nadmiarem jedzenia, problem, w co się ubrać zmienił się na dylemat, jak się ubrać, a żywiła nas i ubierała UNRRA.

Jak już wszyscy staliśmy się podobnymi do ludzi, zaczęły się wizyty u rodziny, znajomych i lekarzy. Od lekarzy dowiedzieliśmy się, że jestem niedożywiony, opóźniony w rozwoju fizycznym, mam zęby mleczne, których już mieć nie powinienem i zwapnione blizny w płucach. Mamę i Zochę poinformowano, że mają malarię z możliwościami nawrotów, o czym wiedziały, natomiast u Jurka niczego nie znaleziono, co zresztą okazało się dla niego fatalne, bo parę miesięcy później po bardziej wnikliwych badaniach odkryto, że ma zaawansowaną gruźlicę płuc.

Zbliżała się Wielkanoc, było coraz cieplej. Krawężniki na Czarnowskiej, Sienkiewicza i ulicach przyległych zostały pomalowane na białe. Ja, w tenisówkach przemalowanych białym proszkiem miętowym do mycia zębów, pierwszy raz uczestniczyłem w wielkanocnych obrzędach. A zaraz po świętach zostałem wprowadzony do szkoły. Grono ciotek bliższych i dalszych ustaliło, że choć rok szkolny kończy się za niecałe trzy miesiące, to powinienem pójść do pierwszej klasy, abym został wstępnie ucywilizowany, wyzbył się dzikości i innych manier rodem z tajgi. Umiałem już czytać i pisać, gorzej było z arytmetyką, ale za to o życiu wiedziałem więcej niż moi rówieśnicy, a również nauczycielki. Edukacją moją zajęły się nazaretanki, gdyż według tego samego gremium doradczego, tylko zakonna szkoła jest w stanie zrobić z dzikiego chłopaka z tajgi przyzwoitego bogobojnego człowieka. Nie miały te biedne kobiety łatwego zadania, a nie mnie oceniać, czy im się to udało. Parę dni po mnie przyprowadzono do klasy dziewczynkę – też Sybiraczkę. Była to Ałła J. Wyrosła na przystojną kobietę, projektowała mosty, a dziś działa w Związku Sybiraków. Wtedy w klasie sprawiała wrażenie małego wystraszonego zwierzątka, starającego się nie zwracać na siebie większej uwagi.

Pierwszą moją szkolną porażką była utrata pięknego mundurka, bo oczywiście w nim powędrowałem do szkoły. Kiedy szedłem przez korytarz stukając podkutymi półbutami jak koń, to wzbudzałem ogólne zainteresowanie zarówno wśród uczniów, jak i personelu. Byłem z tego bardzo dumny i wyraźnie odbijałem się od masy dziewczynek i chłopców ubranych w czarne lub granatowe fartuszki z półokrągłymi białymi kołnierzykami. Ale co dobre nie mogło długo trwać. Na początek dowiedziałem się, że po szkole nie chodzi się w butach, a na dodatek gwoździe w podeszwach rysują wypastowane podłogi, a zaraz potem mama została wezwana do szkoły w sprawie mundurka. Ponieważ nie miałem innego stosownego ubrania, stanęło na tym, że piękne złożone guziki zostaną zastąpione zwykłymi, a mundur przefarbowany na czarno. I tak się stało, ale po wyschnięciu skurczył się nieregularnie, pewnie z powodu różnicy materiałów, z których był uszyty, a w dodatku brudził na czarno szyję i nadgarstki – ogólnie wyglądał jak ubranie przywiezione z Syberii.

Na szczęście robiło się ciepło i można było chodzić w krótkich spodniach. Miałem z tego samego źródła piękne spodenki z błękitnego pluszu. Ale i one nie zostały zaakceptowane. Były sugestie, żeby je przedłużyć, ale na szczęście nie zostały one uwzględnione. Rok szkolny się skończył i nawet dostałem pisemne wyróżnienie – jedynę zresztą, jakie w toku całego procesu nauczania otrzymałem.

Poza szkołą, w otaczającym najbliższym świecie działo się wiele rzeczy i spraw fascynujących. Na niezabudowanym terenie, gdzie dziś stoi hotel Łysogóry, zgromadzono wraki czołgów i pojazdów pancernych zniszczonych w walkach o Kielce. Przez jakiś czas było to miejsce wspianiałych zabaw. Potem pojawili się domorośli mechanicy, którzy demontowali koła podtrzymujące gąsienice – miały one otoczkę gumową i były używane zamiast normalnych kół do wozów konnych. A wreszcie miejsce to zaczęło pełnić funkcję szaletu ogólnego na potrzeby pobliskiego postoju dorożek, baru IV kat. Pod Parowozem na rogu ulic Czarnowskiej i Żelaznej, oraz pasażerów PKP. Do zabawy już się nie nadawało. Zresztą trochę później wraki zostały pocięte palnikami i wywiezione. W głębi tego placu, po lewej stronie bliżej zabudowań od strony ul. Czarnowskiej, stała piętrowa kamienica. Któregoś wieczoru, a było już po dwudziestej drugiej, usłyszeliśmy charakterystyczny dzwonek straży pożarnej. Taki dzwonek w nocy zawsze budził grozę. Dzwonek zbliżał się do naszego baraku. Już słysząc było turkot kół po „kocich łbach” ulicy Czarnowskiej. Po chwili przejechał koło nas samochód a za nim wóz konny z drabiną. To on tak hałasował, starając się utrzymać tempo samochodu. Minęły barak i skręciły w stronę dworca, a potem na plac z wrakami. I dzwonek zamilkł. Nie wytrzymałem, tam się coś działo, a ja siedziałem w domu i miałem iść spać, choć to już były wakacje. Pomimo protestów mamy pobiegłem, przecież to niemal po drugiej stronie ulicy. Na placu była już gromadka ludzi, samochód manewrował, ktoś przeraźliwie krzyczał wzywając pomocy, tylko domu nie było. Wreszcie samochód ustawiono tak, że reflektorami oświetlił miejsce, gdzie był dom. Została z niego środkowa ściana z piecem na pierwszym piętrze, w drzwiach kuchni stała kobieta, trzymając się oburącz futryny. I to ona tak krzyczała. Potem pojawili się

jacyś wojskowi i gapiów wyprosili. Usłyszałem tylko, że dom był uszkodzony w czasie bombardowania dworca kolejowego w 1939 i w ogóle nie powinien być zamieszkały.

Stałą atrakcją była kuźnia naprzeciw bramy do PUR-u. Robiono tam wszystko: podkuwano konie, naprawiano samochody ciężarowe i dorabiano części do wszystkiego. Godzinami mogłem stać w bramie kuźni, zafascynowany, jak z kawałka żelaza wziętego z kąta coś powstaje: jakieś osie do wozu, samochodu czy maszyny. Nawet tolerowali moje kibicowanie. Druga kuźnia była w rogu Czarnowskiej i Składowej, ale uboższa i jakby bardziej wiejska.

Moją pasją były samochody, a nie było ich w tym czasie w Kielcach zbyt wiele. W PUR-ze mieli trzy: ciężarowego Forda–Kanadę, półciężarówkę Chevrolet i osobowego Hanomaga. Półciężarówka najczęściej jeździła po zaopatrzenie, głównie zresztą do zakładów „Społem” za torami. Tylko ona mieściła się pod przepustem kolejowym, a i to bez pałaków i plandeki. Czasami kierowcy zabierali mnie ze sobą. Oni załatwiali sprawy, a ja siedziałem na ławce przy skwerku oddzielonym od obiektów produkcyjnych i magazynów. Podobało mi się tu – na środku placyku był duży klomb, z boku trawniki, a obok budynku biurowego boisko do siatkówki i kort tenisowy, w głębi basen kąpielowy. Mama mówiła, że był to wzorcowy zakład, przyjazny dla pracowników – wybudowany przed wojną.

W PUR-ze zrobiło się znowu gęsto, przyjechali nowi ludzie, zagęszczono zakwaterowanie, w naszej kuchni spało pięć osób: dwie kobiety i trzech mężczyzn. Na dzień składano łóżka i można było wyjść na dwór, w nocy przejścia nie było. Panowie gdzieś wyjeżdżali, potem wracali z różnymi przedmiotami. Okazało się, że to szabrownicy, którzy w PUR-ze znaleźli tymczasową przystań z darmowymi noclegami i wyżywieniem – wystarczyło tylko mieć zaświadczenie repatriacyjne. Wreszcie na dobre zniknęli, a jeden z nich ofiarował mi stertę klaserów ze znaczkami; pewnie były za duże i zbyt ciężkie do dalszej podróży, a kupca na niemieckie znaczki obcemu człowiekowi w obcym mieście widocznie trudno było znaleźć.

W mieszkaniu trochę się rozluźniło, ale tylko na chwilę, zaraz wprowadziła się rodzina ewakuowana z terenów, na których szalał ukraiński nacjonalizm. Pani opowiadała rzeczy straszne. Jakoś się to zbiegło z pogłoskami, że w Kielcach giną dzieci, a niektórzy nawet wiedzieli, gdzie te dzieci są i co się z nimi dzieje. Na wszelki wypadek mama zakazała wieczornych wędrowek, a zwłaszcza w rejonie Piotrkowskiej i Silnicy.

W PUR-ze już się wszyscy znali, wiedzieli, kto kim jest, chociaż nie wszyscy mówili o przeszłości. Była jedna rodzina, która wyraźnie trzymała dystans do reszty. Zajmowali mieszkanie następne obok kierownika, całe bez dokwaterowań, a była to wielodzietna rodzina: cztery dziewczyny i dwóch chłopców. Najstarsza mogła mieć 17–18 lat, najmłodsze uczyło się chodzić. Tatuś miał wygląd robotnika z plakatu, a do tego wiecznie ponury wyraz twarzy. Mówili, że należy do PPR. Przyjechali gdzieś z Kresów. Przez nich polityka weszła do PUR-u. A do tej pory było raczej spokojnie. Duże transporty repatriantów jechały prosto na Ziemię Odzyskane. I raczej nie byli to

Sybiracy, tylko przesiedlani mieszkańcy Kresów. Sybiracy zjawiali się w mniejszych grupach po kilka lub kilkanaście osób i po paru dniach rozplywali się w mieście lub województwie. To ci, którzy mieli tu jakieś rodziny, znajomych – a w trwałość granic zachodnich nie wierzyli. Stali mieszkańcy baraku albo byli pracownikami PUR-u, albo związani z Kielcami i nie mieli się gdzie podziać – tak jak my. Któregoś czerwcowego dnia najstarsza z dziewcząt zaczęła paradować w granatowej spódnicy, błękitnej bluzce i czerwonym krawacie. Zaraz potem brama i płot od strony Czarnowskiej zostały oklejone plakatami nawołującymi do głosowania 3 x TAK. W nocy plakaty zerwano, rano wisiały nowe, rozklejone przez aktywistów ZWM. Za programem 3 x TAK stała PPR, ukrywająca się pod niewinnie brzmiącą nazwą – Blok Demokratyczny. Za programem 2 x TAK było PSL. Na plakatach przedstawione było jako koza, która usiłuje skoczyć w przepaść, uniemożliwia jej to wesoły robotnik ciągnący ją za ogon – koza beczała „mee”, robotnik był podobny do tatusia aktywistki ZWM. Na murach i chodnikach przy całej ul. Sienkiewicza wymalowane były czerwoną farbą szablony z hasłem „Głosuj 3 x TAK”. Po referendum tylko tatuś i córka nie kryli radości. Reszta mieszkańców PUR-u szemrała po kątach, że to oni dokonali fałszerstwa, ale nikt tego głośno nie mówił. Znowu się bali, pamiętając co przeżyli i skąd wrócili.

Ponownie nasiliły się pogłoski o porywaniu przez Żydów chrześcijańskich dzieci i zabijaniu ich w celu pozyskania krwi do celów rytualnych. Ja znałem Żydów i pamiętałem ich z Syberii. Byli różni, lepsi i gorsi, czasem śmieszni, a czasem agresywni. Ale nikt się ich nie bał, ani my, ani miejscowi.

Któregoś lipcowego dnia stałem rano we wrotach kuźni obserwując pracę kowali. W tym czasie z ulicy Żelaznej wyszła gromada mężczyzn. Nieśli kołki, drągi, a jeden miał duży klucz, chyba do odkręcania szyn kolejowych. Kilku zatrzymało się przy kuźni i nawoływało, żeby iść z nimi, „bo wreszcie trzeba z tym zrobić porządek!” Jeden z młodych pracowników nawet był skłonny iść z nimi, ale majster – czy właściciel – powiedział: „Masz robotę, to jej pilnuj, a tam na pewno będzie awantura”. On został, a oni poszli w dół Czarnowskiej, w stronę Silnicy.

Bardzo chciałem zobaczyć „awanturę”, pobiegłem do mamy po zgodę, ale nie tylko jej nie otrzymałem – usłyszałem jeszcze, że nie wolno mi wychodzić poza obręb PUR-u.

Wracali ludzie z miasta i informowali, że chyba są jakieś rozruchy, bo kręcą się grupy agresywnych ludzi, a najwięcej gromadzi się ich w rejonie Piotrkowskiej i na Plantach przy dużej, piętrowej i ponurej z wyglądu kamienicy.

Po jakimś czasie w tamtym rejonie zaczęła się strzelanina. Słychać było pojedyncze wystrzały i serie z broni maszynowej. Nie wiedzieliśmy, kto do kogo strzela. Żołnierz z placówki w PUR-rze zaryglował bramę od strony Czarnowskiej i furtką wpuszczał tylko miejscowych, odradzał wychodzenie na zewnątrz. Kowal też przymknął wrota, tak że można było wyjrzeć na ulicę, ale w każdej chwili mogły być zamknięte.

Pod wieczór wszystko ucichło, do żołnierza przyjechał furgon ciągnięty przez dwa konie ze spóźnionym obiadem, kolacją i jutrzejszym śniadaniem. Ale żołnierz nie był głodny, jadł w stołówce PUR.

Woźnica, który rozwoził jedzenie do różnych wojskowych placówek na terenie miasta bywał w PUR-ze ze dwa razy dziennie i miał jakieś interesy z kucharzami. Teraz był pierwszym źródłem informacji o tym, co się działo. Ktoś wyszedł na zwiady. Wrócił z informacją, że w rejon zamieszek nie wpuszczają. Teren obstawiony jest przez wojsko, UB i milicję, a jacyś cywile legitymują wszystkich, którzy chcą w ten rejon wejść lub z niego wyjść, informując, że mieście wprowadzono godzinę policyjną.

Punktem zbornym, gdzie komentowano bieżące informacje była oczywiście stołówka. Słuchałem tego z wypiekami i z żalem, że niczego nie widziałem, choć byliśmy od centrum wydarzeń tak blisko. W końcu zmorzył mnie sen. Ale wydarzenia biegły dalej w oszałamiającym tempie.

Rano mama dowiedziała się, że w oparciu o wyniki badań, które mi robiono po powrocie z Syberii, zostałem zakwalifikowany do Prewentorium Dziecięcego „Górka” w Busku. Wyjazd organizował PCK, a termin był za dwa dni. Zaczęło się gorączkowe pakowanie. Dostałem walizkę syberyjską, to znaczy skrzynkę z dykty z przykrywą zamkniętą na skobel i kłódkę, rączkę stanowił kawałek parcianego paska. Mama odprowadziła mnie na punkt zborny pod kino Bałtyk. Stała tam już gromada dzieci, część była z rodzicami lub opiekunami, a wszyscy trochę wystraszeni – ja jako wytrawny podróżnik nadrabiałem miną, ale też czułem niepokój przed samodzielnym wyjazdem w nieznane. Wkrótce przyjechał samochód ciężarowy Studebaker z wymalowanymi na szoferce emblematami PCK. Ktoś zaczął wyczytywać nazwiska, ktoś pomógł dzieciom wdrapać się na pakę, gdzie były trzy ławki, dwie wzdłuż burt i jedna środkowa. Znałem te samochody, wiosną 1945 r. często przyjeżdżały po towar do sowchozu Mietołurg, gdzie przez prawie dwa lata czekaliśmy na kontynuację podróży do Polski.

Ponieważ byłem w pierwszej grupie wyczytanych, zająłem miejsce w kącie za szoferką – dzięki temu widziałem, co się dzieje w kabinie, gdzie jedziemy i co się dzieje na skrzyni ładunkowej.

Odjazd się opóźniał, na kogoś czekano, rodzice się porozchodzili, mama też już wróciła do pracy, zrobiło się smutno. Wreszcie ruszyliśmy i już było weselej, coś się działo. Dojechaliśmy bez kłopotów pod Morawicę. Oczywiście wtedy tej drogi nie znałem, wszystko było nowe i dziwne, a droga zupełnie niepodobna do tych w tajdze i wyjeżdżonych traktów w stepach Ukrainy.

Ale pod Morawicą silnik zaczął kasłać, samochód szarpał, aż wreszcie stanął. Wysiedli kierowca i mechanik, podnieśli boczne pokrywy silnika i coś majstrowali, wymieniając fachowe uwagi, z których nic nie rozumiałem. Często padało słowo karburator i „nie podaje na karburator”. Droga była pusta, ani w jedną, ani w drugą stronę nikt nie jechał. Wreszcie panowie coś wymyślili. Ściągnęli wężykiem benzyną do dużej, chyba litrowej butelki, lewą pokrywę silnika opuszczono, prawa została podniesiona. Mechanik położył się na prawym błotniku, nogi trzymał na schodku do szoferki, szofer

przywiązał go w pasie paskiem do spodni do uchwytu dolnej zapinki pokrywy silnika. Mechanik podlewał gdzieś benzynę z butelki, szofer uruchomił silnik i pojechaliśmy. Trochę szarpało, parę razy stawaliśmy, żeby znowu uzupełnić butelkę, ale w końcu dojechaliśmy. A ja stałem na mojej skrzyni-walizce i wszystko z uwagą obserwowałem. Teraz już wiem, że po prostu popsuta się pompa paliwowa i panowie zdecydowali się łąć z butelki benzynę do odstojnika nad gaźnikiem, a dalej już ściekało grawitacyjnie. Dziś taka jazda jest niewyobrażalna, ale wtedy był to jedyny sposób, by nas dostarczyć do Buska. Na dole czekała na nas pielęgniarka (a może to była salowa). Poprowadziła nas na górę. Taszczyliśmy tobołki, plecaki, walizki, a ja swoją skrzynkę. Była nieporęczna i lepiej było na niej siedzieć niż ją nieść. Na wzniesieniu stały pawilony z półokrągłymi dachami. Tak to wyglądało, jakby ktoś grubą rurę przekroił wzdłuż i poustawił na ziemi. Szczyty pawilonów były pomalowane na różne kolory, ja trafiłem do Pawilonu Niebieskiego. W środku była duża sala z dwoma rzędami łóżek i przejściem w środku. Z jednego końca były sanitariaty i umywalnie, a po drugiej stronie jadalnia dla tych, którzy chodzili i mogli jeść samodzielnie. Był to pawilon męski, a pacjentami byli chłopcy niedożywieni, często zawszeni, z różnymi wadami fizycznymi, głównie pochodzącymi od paraliżu dziecięcego i wypadków. Obok mnie leżał chłopak, który zyskał powszechną sławę, nie tylko u pozostałych pacjentów, poprzez pokazywanie języka. Początkowo robił to ochotczo, a potem trzeba go było prosić. Miał on otóż język pocięty wzdłuż na kilka pasków, które jakimś cudem trzymały się razem stanowiąc język. Opowiadał różne przedziwne historie o przyczynach stanu swego języka, aż kiedyś jakiś wybitny specjalista obejrzał go i stwierdził, że to po prostu taka struktura języka, i że nikt mu tego języka nie pociął nożyczkami i nie pozszywał potem od spodu na okrętkę. I tak od razu przestał być atrakcją.

Nie podobało mi się tam. Byłem przyzwyczajony do swobody – chodziłem, gdzie chciałem, biegałem, kiedy chciałem, a jadłem, kiedy byłem głodny. Tu wszystko było szczegółowo uregulowane. O określonej godzinie jadło się śniadanie, potem drugie śniadanie, obiad, podwieczorek i kolację. Między posiłkami było leżenie lub leżakowanie i spacer grupowy po najbliższej okolicy. Nudziłem się śmiertelnie, próbowałem czytać, ale w bibliotece były tylko książki dziecinne, a ja zanim do ckliwych bajeczek dorosłem, to już z nich wyrosłem. Na szczęście los się do mnie znowu uśmiechnął – pod koniec lipca przyjechała mama z informacją, że zaraz jadę do Kielc, gdyż czeka mnie drugi wyjazd, tym razem w góry. Wracalem osobową dekwką PCK. Niewiele miałem czasu na rozpoznanie, co się zmieniło. A zmieniło się trochę.

Zniknęła sanitariuszka; jedni mówili, że wyjechała na Ziemie Odzyskane, inni, że miała kontakty z „leśnymi” i poszła „do lasu”, a jeszcze inni, że zamknęło ją UB. Prawdy nie znał chyba nikt. Fakt, że zabrała swoje rzeczy, zwolnił się pokój i poprawiły się nasze warunki lokalowe. Rodzina zza Buga przeprowadziła się do wolnego pokoju, nasz stał się przechodni, a kuchnia odzyskała swoją pierwotną funkcję, była wspólna i wszyscy byli zadowoleni. Oczywiście wszystko miało charakter tymczasowy, bo gdyby pojawili się ludzie z transportu, którzy nie chcieliby jechać na Ziemie Odzyskane,

to do czasu aż znaleźliby jakieś lokum spaliby na łózkach polowych – tak jak to już poprzednio bywało.

Wojsko ciężarówkami zaczęło przywozić drobny złom wojenny. Leżała już sterta masek gazowych, sterta jakiś dziwnych rur – potem się okazało, że były to peryskopy czołgowe – i wiele innych fascynujących i tajemniczych przedmiotów, aż żal było wyjeżdżać. Zostałem spakowany, na szczęście tym razem nie w syberyjską skrzynkę, a w plecak wojskowy, amerykański i trochę dla mnie za duży, ale i tak byłem z niego dumny. Wieczorem zostałem odprowadzony na dworzec i przekazany młodemu człowiekowi o półwojskowym wyglądzie i stosownych do wyglądu manierach. Był to jeden z naszych opiekunów–wychowawców. Mieliśmy do niego zwracać się per „druhu”. Cały wagon zarezerwowany był do naszej dyspozycji. Był to wagon z przedziałami, z drewnianymi ławkami i rozkładanymi drewnianymi półkami do leżenia. Chłopcy byli starsi i chyba część z nich znała się wcześniej. Tylko ja i jeszcze jeden chłopiec odbiegaliśmy wiekiem i wyglądem – byliśmy młodsi i mniejsi. Na razie jechaliśmy do Karpacza, a potem gdzieś dalej. Organizatorem wyjazdu była YMCA. Koleją jechaliśmy do wieczora dnia następnego, a potem już w górach ciężarówką, która zepsuła się przed osiągnięciem celu. Resztę podróży odbyliśmy pieszo, ale za to w górach i po ciemku. Opiekunowie i część chłopców mieli latarki, dzięki czemu bez większych strat w „ludziach i sprzęcie” dotarliśmy do celu podróży. Było to, dziś już nieistniejące, schronisko im. Bronisława Czecha.

W nocy ciemne, drewniane gmazyszko z wiszącą latarnią, na polanie otoczonej wysokimi świerkami i z szumiącym potokiem, robiło wrażenie. Zostaliśmy zakwaterowani, sale były zbiorowe, z piętrowymi łózkami, siennikami i poduszkami wypełnionymi słomą. Cała reszta była amerykańska. Pościel, koce, ręczniki, żywność z herbatą włącznie były amerykańskie, rodem z UNRRA. My dwaj najmłodsi otrzymaliśmy wspólne łóżko w sali najstarszych chłopców. Mieli się nami opiekować. Ale wyszło trochę inaczej. Oni żyli swoim życiem, chodzili późno spać, w nocy grali w karty lub snuli swoje wojenno-okupacyjne opowieści. Bardziej zasłyszane niż przeżyte. A nasza obecność wyraźnie im przeszkadzała. Postanowili, że trzeba nas się z sali pozbyć. Zaczęło się od straszenia. Były opowieści, ilu to Niemców zabito w tym schronisku, a jednego to nawet na naszym łóżku, chyba na parterze. Potem były duchy i widziadła, jeden widział, drugi słyszał jak skrzypią schody i podłoga. Rzeczywiście, w nocy, w starym drewnianym domu ciągle coś skrzypi i trzeszczy, a nawet słysząc jak korniki gryzą drewno. Wreszcie przyszła kolej na inscenizację. Duchy ściągały z chłopaka koce, a jak się budził widział nad sobą białą postać, czyli kogoś okrytego prześcieradłem, podświetlonym od środka latarką. Tego już było za wiele – chłopak powiedział do wychowawcy, że chce natychmiast wrócić do domu, bo się tu źle czuje i nie może spać. Do domu nie wrócił, ale zamieszkał sam w małym pokoju obok pomieszczeń służbowych. Potem przyszła kolej na mnie. Ponieważ strachy na mnie nie działały, zastosowali inne metody.

Któregoś ranka jeden ze starszych chłopców zgłosił, że „mały się zlał”. Potem odbył się pokaz, musiałem wynieść do suszenia prześcieradło z widoczną moką plamą, a chwilę później dwóch starszych wyniosło siennik do suszenia. Powtarzało się to przez parę dni. Wiedziałem, że mnie oszukują. Kiedyś zasadziłem się, postanowiłem, że nie usnę. Okazało się, że się nie myliłem. Późnym wieczorem, kiedy starsi chłopcy prowadzili historyczno-polityczne dysputy, usłyszałem: „Chyba śpi” – i za chwilę jeden chłopak podniósł koc, w drugiej ręce miał półlitrowy kubek z herbatą. W momencie, gdy podniósł koc z całej siły i z pełną złością ugryzłem go w przedramię. Rozległ się wrzask, a półlitrowy kubek z herbatą upadł na podłogę. Przestałem udawać, że spałem. Chłopcy byli trochę zmieszani, że wydał się ich „dowcip”, ale najbardziej chodziło im o to, żeby nie skarżyć wychowawcy. Od tej pory miałem spokój. Zaczął ich interesować mój pobyt w ZSRR, a kiedy prawie wygrałem bieg z przeszkodami (po wertepach) na polanie przed schroniskiem, to zostałem czymś w rodzaju pupila-maskotki. W schronisku obowiązywał regulamin jak na obozie harcerskim. Myć się chodziliśmy do potoku. Nie zawsze było to przyjemne, zwłaszcza wieczorem lub wcześniej rano. Poza normalnymi zajęciami codziennymi mieliśmy do wykonania zadania społeczne. Piwnice schroniska zavalone były stertami nart. Z tych stert trzeba było wybrać parę, dobrać kijki, związać i postawić w narciarni. Za wykonaną pracę każdy mógł wziąć jedną parę nart dla siebie – taką, jaką sobie wybrał. Oczywiście pracowałem pilnie i też sobie narty wybrałem. Bardzo piękne, czarne, błyszczące, a na dodatek z butami. Ale narty spodobały się starszemu chłopakowi. Twierdził, że są na mnie za duże i na pewno przy wyjeździe mi je odbiorą, a wtedy nie będę miał żadnych. Ponieważ nie ustępowałem, obiecał, że znajdzie mi parę na mój wzrost. I rzeczywiście, po jakimś czasie przyniósł małe narty, ładnie związane, z kijkami, i dopiero w Kielcach, w domu przekonałem się, że jedna z nart jest podwiązaniem nadcięta, jakby ktoś chciał ją przeciąć na pół.

Końcowa część pobytu zaczęła nam się dłużyć, wycieczki do tych samych miejsc przestały być atrakcyjne, a niektórym obrzydły poranne jajecznice z proszku, na obiad zupa grochowa z proszku, suchary i konserwowe gotowane ziemniaki – wszystko oczywiście z zapasów wojennych armii USA. Wakacje się kończyły i czas było wracać. Wracaliśmy jako zespół zintegrowany, ze śpiewem i nartami. Tam nauczyłem się śpiewanych w tym czasie pieśni wojskowych i partyzanckich. Nie miałem okazji poznać ich wcześniej, znałem natomiast wojskowe pieśni radzieckie, których moi nowi znajomi nie znali.

Rok szkolny zaczął się tradycyjnie mszą w kaplicy szkolnej. Trzy pierwsze klasy były koedukacyjne, od czwartej chłopcy i dziewczęta mieli klasy osobne, a liceum było już tylko żeńskie. Naszą wychowawczynią została pani Weinechtowa – żona kieleckiego malarza, jej córki też chodziły do nazaretanek.

Uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego nie trwały długo, miałem więc czas na obejrzenie w powrotnej drodze terenu lipcowych zamieszek. Na ul. Piotrkowskiej sklepiki miały drzwi i okna pozabijane deskami, potłuczone szyby wystawowe i ślady plądrowania. Kamienica na Plantach ze śladami pocisków na tynku, okna parteru zabite

deskami, wysoki płot uzupełniony nowymi deskami i solidna zaryglowana brama. Silnica była potokiem o nieuregulowanych brzegach; wrzucano do niego wszystko, co było zbędne, czasami te odpady piętrzyły nurt, robiły się wodospady i swego rodzaju wyspy. Zaraz za mostem na rogu Plant i Czarnowskiej był warsztat mechaniczny. W parterowym budynku z czerwonej cegły były ustawione w dwóch rzędach tokarki i obrabiarki. Pod sufitem na drewnianym rusztowaniu przymocowany był wał z kołami pasowymi, a w rogu stał duży silnik elektryczny, który napędzał go. Na wale przy każdej maszynie było koło pasowe i wisiał pas. Jeżeli trzeba było uruchomić maszynę, to pracownik długim drągiem zakończonym widełkami kierował pas na koło, a jak trzeba było ją zatrzymać, to ją tym samym drągiem zsuwał z koła. W hali zawsze się paliło światło, a dzięki temu, że chodnik był na poziomie dolnej krawędzi okien mogłem obserwować wszystko, co się tam działo. Okna brudne, z charakterystycznym rdzawym nalotem, były zakratowane i od środka osłonięte siatką. To był jeden z moich stałych punktów obserwacyjnych. Dróg do szkoły miałem kilka, a wszystkie atrakcyjne. Można było iść obok baru Pod Parowozem, tam zawsze coś się działo, potem był postój dorożek, a po lewej wraki czołgów, coraz mniej kompletne. Potem Sienkiewicza, a na rogu następny bar, bodajże Savoy. W tej części Sienkiewicza prawie nie było sklepów, w istniejących okna były wysoko i nie było czego oglądać. Atrakcję stanowił zbombardowany dom – kilkupiętrowa kamienica trafiona bombą tak, że zawalił się dach i stropy. Wyglądała dziwnie, przy ścianach stały piece i kuchnie, a w oknach powiewały firanki. Front kamienicy na poziomie parteru był ogrodzony szczelnym parkanem z ostrzegawczym napisem, że dom grozi zawaleniem. Później dom został odbudowany i mieściła się w nim Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych, a na parterze klub ZBOWiD-u. Drugi taki dom, ale chyba wypalony, bo miał okopcone mury nad oknami, na rogu Leśnej następny na drugim rogu przy Kapitulnej. Też został odbudowany, był tam pierwszy Powszechny Dom Towarowy, chluba Kielc lat pięćdziesiątych. Kolejnym śladem wojny był budynek na rogu Dużej i Czerwonego Krzyża. Po odbudowie mieści się w nim PZU. Ale począwszy od ul. Focha na Sienkiewicza były już sklepy. Na rogu był sklep „Bata”. Podobno kiedyś sprzedawano tam piękne buty, teraz czasami były tenisówki. Po drugiej stronie, na rogu była stacja benzynowa. Jakoś szybko została zamknięta. Wystawy oglądałem w drodze powrotnej ze szkoły, wtedy miałem więcej czasu. Przy dwóch wystawach stawaliśmy najczęściej – używam liczby mnogiej, bo miałem już wtedy kolegów szkolnych i powroty odbywały się gromadnie. Pierwszym sklepem był Motozbyt, który mieścił się w parterowym budynku, trochę zapadniętym w ziemi, z podłogą poniżej poziomu chodnika. W jednym oknie stał motocykl SHL. Piękny, czarny, błyszczący z niklowaną trąbką i gumową gruszką. W drugim oknie stał rower: damka marki Diamand z kolorowymi siatkami osłaniającymi tylne koło. Miał lampę przednią i tylną, dynamo, bagażnik – i w ogóle był piękny. Nawet miał cenę: 18.600 zł. To trochę więcej niż miesięcznie zarabiała moja mama. Ale żeby kupić jedno lub drugie cacko, nie wystarczyło mieć pieniądze. Trzeba było mieć jeszcze talon, a talony otrzymywali jako nagrody przodownicy pracy i aktywiści partyjni. Pooglądać i poma-

rzyć mógł każdy, co też czyniliśmy. Drugi sklep mieścił się między Dużą a Małą, tam gdzie dziś jest DESA. Też był to dom parterowy i też schodziło się po schodkach w dół. Duże okno wystawowe było zabezpieczone grubą rurą mosiężną na wysokości głowy średniej wysokości dziecka, a na wystawie jeździła elektryczna kolejka, stały czołgi, żołnierze, armaty i mnóstwo innych godnych pożądania przedmiotów. Sprzedawca demonstrował zabawki tylko wtedy, gdy młody człowiek był z kimś dorosłym. Wszystkie wystawy robiły się jeszcze piękniejsze przed Bożym Narodzeniem. Zaczynało się od Świętego Mikołaja.

Czasami chodziłem Czarnowską, potem po skosie przez plac, który rozciągał się od Focha wzdłuż tyłów zabudowy ulicy Sienkiewicza, a z Czarnowską łączył się w miejscu, gdzie później wybudowano kino Romantica. Od strony Focha stał drewniany, parterowy budynek, bardzo zdewastowany. Pełnił głównie funkcję szaletu i w niedługim czasie został rozebrany. Plac był wysypany żużlem, pochodzącym prawdopodobnie z pobliskiej elektrowni. Pozostałości wskazywały, że plac kiedyś służył do parkowania i garażowania pojazdów. Były ślady po garażach, jakichś wiatach, płytach betonowych z kanałami, teraz zapełnionymi śmieciami. Od strony elektrowni przez tereny PUR-u, skośnie przez ulicę Czarnowską, a potem przez plac – zgodnie z kierunkiem mojej wędrówki płynął strumyk. Ujęty był w korytko z desek, a tam, gdzie w poprzek przejeżdżały pojazdy korytko było od góry przykryte deskami. Strumyk przepływał w poprzek ulicę Focha już chyba murowanym kanałem i uchodził do stawu, a ze stawu do Silnicy. Teren ten był już niedostępny, ogrodzony drutem kolczastym. Zresztą w tym czasie większość płotów miała u góry drut kolczasty. Za to poza płot wystawały morwy białe i fioletowe. Przy pewnej sprawności właściwej dla młodego wieku i uważając na drut kolczasty można było trochę tych morw pojeść. Za stawem, w kierunku ulicy Sienkiewicza było gospodarstwo ogrodnicze. Urozmaiceniem tego odcinka drogi do szkoły były wyścigi okrętów. Puszczano się pływające przedmioty do strumyka przed jego wpłynięciem na ul. Czarnowską. Potem trzeba było poczekać, aż okręt pojawi się z drugiej strony i pilotować go do mety, która była przy wlocie pod ulicą Focha. Tam trzeba go było złapać; jeśli złapać się nie dał, to lądował w stawie i był stracony.

Po jakimś czasie popsuto nam tę zabawę. Na placu urządzono skład drzewny firmy PAGED. Plac ogrodzono, a od strony Czarnowskiej wybudowano drewniany parterowy budynek na biuro firmy i mieszkanie dla rodziny dyrektora. Niedługo okazało się, że jedna z córek dyrektora chodzi do równoległej klasy w tej samej szkole. Straciłem więc możliwość regat na strumyku, ale zyskałem koleżankę, którą czasami można było odprowadzić do szkoły – lub ze szkoły do domu – bez nadkładania drogi. Na Czarnowskiej mieszkał również mój kolega z klasy Andrzej S. Jego ojciec miał wytwórnię wód gazowanych. Andrzej należał do tej grupy dzieci, którym tatusiowie kupowali zabawki w tym pięknym sklepie, który tak nam się podobał. Ale ja też miałem swoje zabawki, których oni nie mieli, bo mieć nie mogli. Do PUR-u wojsko przywoziło coraz dziwniejsze rzeczy: peryskopy czołgowe, maski gazowe, polowe centrale telefoniczne i dziesiątki różnych przedmiotów, z których pomysłowy chłopak mógł pozyskać

wspaniałe zabawki. Z masek gazowych wycinało się okulary, które każdy chciał mieć, z pasków na głowę wyjmowało się błyszczące stalowe sprężynki, które zastępowały gumę. Z peryskopów największym zainteresowaniem cieszyły się soczewki, pryzmaty, lusterka; z central – mosiężne gniazda, wtyczki i kolorowe druciki. Nie było jednak lepszej zabawki jak metalowe kółko i tzw. hamulec – kawałek grubego drutu wyprofilowanego na końcu w kształcie litery „U”. Przy pomocy tego drutu można było kółko toczyć przed sobą i wykonywać nim różne ewolucje: slalomy, ósemki, kółka. Najczęściej używana była do tego po prostu duża fajerka kuchenna. Ale miały one wady wrodzone – były hałaśliwe przy toczeniu, pękały przy uderzeniach w coś twardego, np. w krawężnik, a czasami rozpadały się na kawałki. Ja natomiast miałem piękne, cienkie, stalowe kółko, w dodatku od środka zębate. I mogłem ich mieć więcej, bo kierowcy wymontowywali je z silników wraków pojazdów przywiezionych na plac PUR-u. Dzięki tym swoim zabawkom zyskałem dostęp do prawdziwych zabawek. Zacząłem bywać u Andrzeja S. Mieszkał na terenie nieruchomości, która od frontu ulicy Czarnowskiej wyglądała niepozornie. Długi parterowy budynek z czerwonej cegły, w którym mieściły się wodociągi kieleckie, obok była duża brama, a po jej lewej stronie stało coś, co wyglądało jak piramida z trocin, a w środku były ułożone tafle lodu wycinane zimową porą ze stawu w parku. Duże podwórko wybrukowane było takimi samymi „kocimi łbami” jak ulica Czarnowska, ze spadkiem w kierunku strumyka. Zabudowane było w formie niedomkniętego od frontu czworoboku. Po prawej stronie, za budynkiem gdzie znajdowały się wodociągi mieściła się rozlewnia piwa – leżały beczki drewniane różnej wielkości i sterty skrzynek na butelki – dalej wozownia i wielka platforma na gumowych kołach, a obok stajnie. Były także jakieś magazyny, kantory i biura. W końcu lewego skrzydła mieszkali rodzice mojego kolegi. Po kamiennych schodkach wchodziło się na poziom prawie pierwszego piętra – był to tzw. wysoki parter. Pod spodem znajdowała się wytwórnia wód gazowanych. Korciło mnie, żeby zobaczyć jak się robi oranżadę, ale dzieciom i obcym wstępu do wytwórni zabraniano. Jak się okazało – do czasu. Kolega mój miał dużo pięknych zabawek, wszystkie o profilu wojenno-militarnym i wszystkie pochodzenia poniemieckiego. Najatrakcyjniejsza była gra „wojna morska” – dwie floty złożone z modeli okrętów różnej klasy i wyporności, poczynając od pancernika, poprzez torpedowce, niszczyciele i jednostki pomocnicze, każda flotylla miała jedną łódź podwodną. Modele składały się z kilku części, w środku każdego umieszczono sprężynę, którą trzeba było napiąć przed złożeniem modelu. Z boku na burcie okręty miały okrągłą, pomarańczową płamę – ruchomy klocek, uderzenie w który z odpowiednią siłą zwalniało sprężynę i okręt „ekspłodował” rozpadając się na kilka części. Uderzało się torpedami, które wyrzucała łódź podwodna i niektóre z okrętów. Godzinami toczyliśmy wojny morskie. Którejś niedzieli zabawę przerwał nam ojciec kolegi. Dzień był upalny i właśnie przyjechał na rowerze goniec z prośbą o pilną dostawę napojów gazowanych, mieliśmy pomagać przy produkcji. Zeszliśmy na dół, na betonowej podłodze stał drewniany zbiornik z wodą, trochę jak duża balia lub szeroka beczka bez pokrywy. W balii pływał półokrągły zbiornik miedziany. Na betonowej

podłodze stały skrzynki z butelkami i koryto z wodą do ich mycia. Nad stołem z blatem obitym blachą zamontowano dwa krany z pionowymi dźwigniami do ich uruchamiania. Obok stały dwie bańki na mleko z miarkami aluminiowymi na długich rączkach. W jednej bańce przechowywano syrop pomarańczowy, w drugiej cytrynowy. W puszcze po konserwie znajdowały się uszczelki gumowe wycięte z dętki samochodowej. W kącie przy ceratowych fartuchach był warsztat do produkcji uszczelek. Stół, deska, dwie zaostrome rurki o różnych średnicach, młotek i kawałek dętki w kolorze różowym. Podobno z jakichś przyczyn nie można było robić uszczelek z dętki czarnej. Moje zadanie polegało na wlewaniu syropu do butelek przy pomocy miarki i lejka. Butelki wodą z gazem napełniał i zamykał ojciec kolegi. Kolega sprawdzał szczelność zamknięcia odwracając każdą butelkę dnem do góry. Jeżeli ciekła, to trzeba było ją otworzyć, na porcelanowy korek nałożyć dodatkową uszczelkę i ponownie zamknąć. Po niespełna godzinie platforma załadowana skrzynkami z napojami pojechała do odbiorcy.

Potem wciągnął mnie szkolny rytm. Ze szkoły wracaliśmy wieczorami, a wieczory były już ciemne, coraz ciemniej było też na ulicy Sienkiewicza. Jeszcze nie znałem przyczyny, nie znałem też określenia „bitwa o handel”. A była to bitwa, którą nowa władza zainicjowała w celu likwidacji prywatnego handlu, usług i drobnej wytwórczości. Pierwszymi widocznymi oznakami tej wojny były nieoświetlone wystawy, często potem zaklejane propagandowymi afiszami, a efektem finalnym były kłopoty zaopatrzeniowe.

Do PUR-u wojsko zaczęło przywozić złomowaną broń – karabiny, pistolety i broń myśliwską. Wszystkie bez zamków, a często z pogniecionymi lub skrzywionymi lufami. I zaraz pojawili się jacyś obcy kolekcjonerzy. Przebierali w stertach złomu i czegoś szukali, w związku z czym żołnierz przy bramie znowu zaczął sprawdzać, kto na teren wchodzi i częściej zaglądał na złomowisko.

Potem zaczął przyjeżdżać ciągnik Lanz Bulldog, pierwowzór późniejszego Ursusa C-45. Kiedyś przyciągnął dwie przyczepy pełne książek, oprawionych w twarde „marmurkowe” okładki. Ciągnik długo stał przed płotem PUR-u z pracującym silnikiem. Kierowca gdzieś sobie poszedł. Po jakimś czasie przechodnie zaczęli brać książki wystające ponad burty. I szybko się oddalali. Obserwowałem to wszystko przez płot i oczywiście też zapragnąłem mieć książkę z przyczepy. Trudno było, bo już te skrajne pozabierano, a ja do krańca burty nie sięgałem, ale wdrapałem się na koło i trzymając się jedną ręką, drugą złapałem dwie najbliższe książki. Kiedy szykowałem się do drugiego wypadu wypatrując, kiedy ulica będzie pusta, przyszedł kierowca i ciągnik pojechał, ale nie na teren PUR-u, tylko dalej na Żelazną. Pewnie spalono książki w kotłach elektrowni.

Obejrzałem swoje zdobycze – jedną była „Pożoga”, druga to zbiór opowiadań „Koń na wzgórzu”. Obie opisywały zdarzenia przedstawiające władzę radziecką w niekorzystnym świetle. I chociaż w swoim krótkim życiu wiele widziałem i jeszcze więcej słyszałem – to treść tych książek zapamiętałem na całe życie. Później krążyły wśród

rodziny i znajomych, aż jedną ktoś sobie przywłaszczył, a drugą skonfiskowano w czasie rewizji.

Późną jesienią przyprowadzono kilkadziesiąt koni. Były to potężne konie robocze, na pośladkach miały wypalone litery UNRRA. Trafiły do stajni, skąd wypchano samochody PUR-u. Potem przez parę dni wojsko przywoziło bloki prasowanej słomy, ze słomianych kostek ułożono pryzmę wyższą niż baraki. Mieliśmy z tym piękną zabawę. Robiło się w środku korytarze i schowki, ale trzeba było uważać, żeby się nie skaleczyć drutem, którym słoma była wiązana. Potem stopniowo koni ubywało i słomy też. I konie i słomę dokądś wywoziło wojsko.

Zbliżała się zima, widocznymi oznakami były kłęby pary nad drewnianymi wieżami chłodniczymi elektrowni. Już wiedziałem, że jak wieje wiatr z tamtej strony, to lepiej się elektrowni nie przyglądać. Z wielkich metalowych kominów, wyglądających jak duże stojące lejki, co jakiś czas buchały w górę snopy iskier – kiedyś przez dłuższy czas pielęgniarka wyjmowała mi z oka kawałek żuźla.

Któraś po południu zjawił się u nas gość. Jak się okazało był to mamy szef z okresu, kiedy po ukończeniu studiów, a przed zamążpójściem, pracowała w Kieleckiej Izbie Skarbowej. Przyniósł informację, że wojsko radzieckie wyprowadziło się z gmachu Izby Skarbowej przy ulicy Poniatowskiego i powstają warunki do reaktywacji tej instytucji. W związku z tym poszukiwani są byli pracownicy, a pracę muszą podjąć od zaraz. I to był początek mojego rozstania z tą dzielnicą, barakami Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, ludźmi z całego świata i zdarzeniami, które toczyły się szybko i często były zaskakujące.

Potem przyszła akcja zagęszczania mieszkań. W Kielcach robiło się coraz ciasniej, a mieszkań nie przybywało. W związku z tym władze przymusowo dokwaterowywały ludzi do cudzych większych mieszkań. Jedna z ciotek, aby tego uniknąć uprosiła mamę, żebyśmy się do niej przeprowadzili. Mieszkanie było przy ul. Poniatowskiego nr 5. Argumentem było to, że oboje z siostrą będziemy mieć blisko do szkoły, a mama do pracy, no i łazienkę oraz WC, a co najważniejsze przyzwoitą dzielnicę i otoczenie starych, zasiedziały kielczan.

Przeprowadziliśmy się i rzeczywiście tu było całkiem inaczej – ale to już zupełnie inna historia. Czas pokazał, że z przeprowadzką popełniliśmy fatalny błąd. W nieodległym czasie baraki przy ul. Czarnowskiej 18 zostały rozebrane, a wszyscy tam mieszkający otrzymali nowe mieszkania w blokach postawionych na terenie między ulicami Krakowską, Marchlewskiego, Piłsudskiego i Gagarina.

Kielce, październik 2010

O autorze

Urodziłem się 2 stycznia 1937 r. w Lublinie, gdzie od 1934 r. ojciec mój Franciszek Lis pełnił funkcję prokuratora przy Sądzie Apelacyjnym. Do roku 1934 moi rodzice mieszkali w Kielcach. W lutym 1939 r. przeprowadziliśmy się do Łucka, gdzie ojciec został prezesem Sądu Okręgowego. Rodzeństwo moje: ośmioletnia siostra Zosia i dziesięcioletni brat przyrodni Jurek, poszli do szkoły powszechnej. Zamieszkaliśmy w gmachu sądu przy ul. Trynitarzkiej.

Po zajęciu Łucka przez wojska radzieckie ojciec został aresztowany 22 września, a następnie skazany na 10 lat łagru (domu poprawczej pracy przymusowej). W kwietniu 1940 r. reszta rodziny została deportowana na tereny zachodniej Syberii. W październiku 1944 r. zostaliśmy przewiezieni na wschodnią Ukrainę w rejon miasta Stalino (Donieck) do sowchozu „Mietalurg 4”. W marcu 1946 r. Wróciliśmy do Polski, do Kielc.

Maciej Lis (Kielce) **Memories 1946-1948** **About the author**

I was born on January 2, 1937 in Lublin where since 1934 my father, Franciszek Lis, held the position of prosecutor at the Court of Appeal. Until 1934, my parents lived in Kielce. In February 1939, we moved to Łuck, where my father became the president of the District Court. My eight-year-old sister, Zosia, and ten-year-old stepbrother, Jurek, attended an elementary school there. We resided in the court's building in Trynitarzka Street.

Following the seizure of Łuck by the Russian army, my father was arrested on September 22 and sentenced to 10 years in gulag (a house of corrective forced labour). In April 1940, the rest of my family was deported to west Siberia. In October 1944, we were moved to east Ukraine in the vicinity of the city of Stalino (Donetsk) to the sovkhos “Mietalurg 4”. In March 1946 we returned to Poland, to Kielce.